



Krzysztof Spadło

Dotyk wieczności

Krzysztof Spadło

DOTYK WIECZNOŚCI

PROJEKT OKŁADKI:
Dariusz Herbowski

KOREKTA I REDAKCJA:
Małgorzata Wawrzyniak
Remigiusz Michalik

ISBN:
978-83-964910-2-2

WYDAWCA:
KAGO

KONTAKT:
kontakt@wydawnictwokago.pl

Copyright © 2022 Krzysztof Spadło & KAGO

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2022

*Dla mojego syna Jakuba.
Podziwiam Twoje ambicje,
upór i konsekwentność.
Jestem z Ciebie dumny!*

Najstarsze, udokumentowane podania o rojach meteorów, które pojawiają się na niebie w drugiej połowie lata i obecnie są znane ludziom pod nazwą Perseidy, sięgają blisko 2000 lat. Jednak na przestrzeni dziejów w wierzeniach wszystkich kultur, interpretacja owego zjawiska miała przeróżne oblicza. W pierwotnych czasach widok deszczu spadających gwiazd budził w ludziach strach i zaskoczenie. Wszelkie zjawiska astronomiczne, które pojawiały się na niebie, bardzo długo były utożsamiane z gniewem bogów, zapowiedzią złowieszczych wydarzeń, przybyciem proroków lub wędrówką zagubionych dusz.

Człowiek od zarania dziejów odczuwał przerażający lęk, jeśli nie był w stanie czegoś zrozumieć lub wyjaśnić w racjonalny sposób. W obecnych czasach posiadamy większą wiedzę, bezustannie dokonujemy fascynujących odkryć, potrafimy wytłumaczyć wiele skomplikowanych zjawisk, ale mentalnie nie różnimy się od naszych przodków. Pierwotny strach przed niezrozumiałym jest wpisany w naszą naturę. Dziś jesteśmy bardziej przebiegli niż *homo sapiens*, który dawno temu żył w jaskiniach i polował na mamuty. Przewyższamy intelektem średniowiecznych inkwizytorów i późniejszych liderów rewolucji przemysłowej. Dzięki zdobyczom wiedzy i techniki, osiągnęliśmy w wielu dziedzinach spektakularne sukcesy, ale ludzki mózg nadal pozostaje dla nas zagadką. Nie potrafimy udzielić odpowiedzi dlaczego niektórzy są obdarzeni artystycznym talentem, czemu potrafimy kochać, nienawidzić, ulegać wzruszeniom, zachwycać się pięknem?

Na wielu płaszczyznach jesteśmy niepoprawnymi ignorantami i doskonale potrafimy kpić ze spraw, które sięgają poza granice naszej wyobraźni. Na początku XX wieku ludzie zaczytywali się w przepowiedniach królowej Saby. Jedna z opowieści głosiła, że przyjdą takie czasy kiedy ojciec będzie mógł rozmawiać z synem i widzieć jego twarz, chociaż ten drugi będzie znajdował się za „wielką wodą”. Rozmówców miał dzielić ocean, więc jakim cudem mogliby prowadzić dyskusję, patrząc sobie w oczy? To, co kilkadziesiąt lat temu wydawało się niepojęte, dziś jest rzeczą zupełnie naturalną. Gdyby nasi pradziadkowie mogli usłyszeć o możliwościach technologicznych, którymi obecnie dysponujemy w codziennym życiu, zapewne uznaliby wszystkie opowieści za nierealne fantazje.

Sprawy, których nie potrafimy racjonalnie wytłumaczyć wywołują w nas również specyficzny odruch obronny, który bardzo szybko może powieść do eskalacji przemocy i agresji.

Nosimy w sobie pierwotny lęk przed nieznanym, który drzemie w naszej świadomości i budzi się zawsze, kiedy brakuje nam sensownych wyjaśnień.

AKT I

Recytatyw

Scena I

Bajkowy Król

Bawaria. Czerwiec, rok 1886.

Słońce już dawno schowało się za łańcuchem górskich szczytów. Najwyższe z nich, miejscami były pokryte wieczną zmarzliną, a szkarłatna poświata na zachodniej stronie nieba, zdawała się gasnąć w oczach. Wiatr z każdą chwilą przybierał na sile. Strzeliste świerki kołysały się w jego podmuchach, a ich igliwia nuciły posępną, zawodzącą pieśń.

Traktem wiodącym przez alpejską przełęcz, na karym koniu gnał samotny jeździec. Był odziany w czarną pelerynę, której poła pod wpływem pędu i wiatru, unosiła się i trzepotała w powietrzu. Z oddali wyglądał niczym zjawa, umykająca przed mrokami zapadającej nocy. Jeździec raz po raz zerkał przez ramię na rozgwieżdżone niebo za swoimi plecami. Doskonale znał drogę do królewskiej siedziby w Linderhof, ale jednocześnie był świadom, jak niebezpieczna może być podróż przez okoliczne lasy, kiedy zostaną spowite przez ciemność. Nie zważał, że na sierści niezmordowanego wierzchowca, zaczynały połyskiwać białe plamy spienionego potu. Niepokój jadącego budziły złowieszcze chmury, które nadciągały od wschodu. Wszystko wskazywało na to, że niebawem ich całuny zakryją blask księżyca, który unosił się wysoko nad horyzontem.

Zmrok gęstniał z każdą chwilą, a jeździec pędził drogą, która wiodła prosto w ramiona ponurych ostępów.

Mężczyzna galopujący leśnym traktem wyteżał wzrok. Po obu stronach rosły potężne, wiekowe drzewa. Pomiędzy ich czubkami, dało się jednak dostrzec wąski pas nieba, który wyglądał niczym magiczny, gwiazdny szlak. W leśnej głuszy rozlegał się tętent końskich kopyt, a ów dźwięk, budził naturalną czujność dzikiej zwierzyny, która znajdowała się w pobliżu. Jeździec jed-

nak jechał zbyt szybko, żeby dostrzec w mrokach nocy poły-
skujące gdzieniegdzie ślepia. Gnał przed siebie, zmierzając do
rozstaju dróg. Na ich rozwidleniu wiele lat temu okoliczni chłopci
wzniesli kapliczkę ku chwale świętej Gertrudy, a stamtąd były
już zaledwie trzy wiorsty do celu podróży.

Sędziwy lokaj odziany w liberię, szedł szerokim korytarzem
wiodącym do drzwi najokazalszej, pałacowej komnaty. W prawej
dłoni trzymał pięcioramienny kandelabr. Knoty świec płonęły,
a ich drżący blask oświetlał bogato zdobione ściany i półkoliste
sklepienie. Służący podszedł do drzwi, zapukał, po czym złapał
za mosiężną klamkę. Stojąc w progu powiedział, zwracając się do
najstarszego z pięciu mężczyzn, którzy siedzieli przy stole:

– Jaśnie panie, przybył posłaniec z listem od kanclerza.

Kilka chwil później człowiek odziany w czarną pelerynę, wy-
jął ze skórzanej sakwy zalakowaną kopertę. Trzy dni wcześniej
otrzymał w Berlinie konkretny rozkaz, który wyraźnie mówił, że
list wolno mu wręczyć jedynie księciu do rąk własnych.

Każdy z czterech mężczyzn, którzy wizytowali w zamku Lin-
derhof miał okazję osobiście przeczytać pismo od najważniej-
szego człowieka Rzeszy Niemieckiej. Kiedy wszyscy zapoznali
się z treścią wiadomości, sześćdziesięcioletni gospodarz
spojrzał po twarzach swoich gości i dostrzegł na ich obliczach
grymasy ulgi i zadowolenia.

– Panowie – rzekł książę, przyjmując dumną pozę – nasz cel
został prawie osiągnięty. Skoro Bismarck osobiście zapewnia,
że udzieli swego poparcia dla mojej regencji, pozostaje nam tyl-
ko ostatecznie pozbyć się obecnie panującego króla. Możecie
być pewni, że jego młodszy brat, nie będzie stanowił dla nas
żadnego zagrożenia.

– A cóż książę sugeruje, mówiąc ostatecznie? – zapytał jeden
z mężczyzn, kładąc nacisk na ostatecznie wypowiedziane przez sie-
bie słowo.

– W świetle prawa musicie uznać Ludwika za niepoczytalnego – wyjaśnił przyszły władca i dodał: – Jednak sama dyskredytacja mojego bratanka nie wystarczy. Wasza w tym głowa moi drodzy ministrowie, żebyście na dobre uwolnili nasz kraj od dziwaka, który żyje w urojonej imaginacji i trwoni fortuny na fanaberie. Jeżeli tak się stanie, zostaniecie hojnie wynagrodzeni, a status waszych rodzin zyska dożgonną wdzięczność i przyjaźń bawarskiego dworu.

Monachium. Wrzesień, rok 1986.

Przed wejściem do głównej auli uniwersytetu monachijskiego, kłębił się tłum dziennikarzy. Przedstawiciele mediów z niecierpliwością oczekiwali na rozpoczęcie konferencji prasowej. Władze uczelni nawet nie przypuszczały, że ich inicjatywa spotka się z tak ogromnym zainteresowaniem. Poniekąd liczone na przybycie korespondentów najbardziej poczytnych niemieckich gazet i reporterów stacji telewizyjnych, ale nie spodziewano się osób reprezentujących takich potentatów jak CNN czy BBC.

Rektor uniwersytetu oraz dziekan Wydziału Historii i Sztuki spoglądali przez okno na parking, gdzie pomiędzy osobowymi samochodami, stało kilkanaście wozów transmisyjnych.

– Jestem pewien, że po dzisiejszej konferencji twoja książka trafi na szczyty list bestsellerów – powiedział rektor. – Twój wydawca miał przysłowiowego nosa. Podjął duże ryzyko inwestując w tłumaczenia, ale tym samym wykonał wyśmienity ruch.

– Nie miałbym nic przeciwko, żeby pozycja odniosła międzynarodowy sukces – odparł sędziwy profesor i uśmiechnął się. – Jednak z drugiej strony bardzo ubolewam, że prawda na zawsze pozostanie w kwestii domysłów.

– Może tak będzie lepiej – stwierdził jego rozmówca. – Poniekąd rozumiem twoje rozgoryczenie, ale nie dziwię się decyzji podjętej przez potomków rodziny Wittelsbach – powiedział

i spojrzął na zegarek, po czym rzekł: – Chodźmy przyjacielu, musisz obwieścić światu smutną nowinę.

Kwadrans później profesor Karl Kügen, stanął za mównicą i spojrzął na tłum, zgromadzony w uniwersyteckiej auli. Widział skierowane w swoją stronę obiektywy aparatów fotograficznych i kamer oraz tuby profesjonalnych mikrofonów kierunkowych. Niektórzy z dziennikarzy trzymali w dłoniach dyktafony, a inni byli gotowi do robienia notatek. Nicco dalej za przedstawicielami mediów, Kügen dostrzegł grono znajomych wykładowców, którzy przybyli wysłuchać oświadczenia swojego akademickiego kolegi.

Po chwili dziekan Wydziału Historii i Sztuki wziął głęboki oddech i rzekł:

– Szanowni państwo, dziękuję wam za tak liczne przybycie. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że inicjatywa katedry naszego uniwersytetu, której mam zaszczyt przewodzić, spotka się z tak potężnym zainteresowaniem. Trzy miesiące temu władze monachijskiej uczelni podały do publicznej wiadomości, że zwróciły się z prośbą do członków rodziny Wittelsbach o wyrażenie zgody na ekshumację ciała Ludwika II. W tym roku przypadała setna rocznica śmierci tego znamienitego, bawarskiego władcy, która po dzień dzisiejszy jest spowita aurą tajemnicy. Władcy, który pozostawił po sobie niebywałe dziedzictwo architektoniczne i kulturowe, znane na całym świecie. Jak zapewne wiecie Ludwik II był człowiekiem o niebywałej fantazji i przylgnęło do niego określenie „Bajkowy Król”. Dzięki niemu powstały przepiękne, baśniowe budowle, które na stałe wpisały się w krajobrazy malowniczej Bawarii. Do najbardziej znanych należy zamek w Neuschwanstein, ale pamiętajmy również o imponujących pałacach w Herrenchiemsee i Linderhof. Wzniesienie ich pochłonęło fortuny, które poważnie nadszarpnęły królewski skarbiec, jednak dziś każdy człowiek może zachwycać się ich pięknem i przepychem. Hojność Ludwika II, jego miłość do mu-

zyki i fakt, że był mecenasem Ryszarda Wagnera, przyczyniły się do powstania dzieł, które znalazły swe miejsce w kulturowym dorobku naszej cywilizacji. Wagner przez wielu swoich ówczesnych był uważany za utracjusza. Jednak gdyby nie otrzymał od bawarskiego króla finansowego wsparcia, czy mielibyśmy okazję usłyszeć takie opery jak Pierścień Nibelunga, Śpiewacy norymberscy, Złoto Renu lub Walkiria? Nasz świat byłby uboższy o te wybitne dzieła. Wspominam o tych sprawach, bowiem są ważne i zasługują na wieczną pamięć. Moim zamiarem nie jest promowanie książki, którą napisałem, ale powiadomienie was o decyzji rodziny Wittelsbach, związanej z ekshumacją szczątków ich przodka. W dobie dzisiejszej nauki bylibyśmy w stanie ze stuprocentową pewnością ustalić przyczynę śmierci Ludwika II. Król zmarł w zagadkowych okolicznościach, dożywszy wieku czterdziestu jeden lat. Osobiście nigdy nie miałem okazji rozmawiać z potomkami królewskiego rodu, bowiem kontaktowali się ze mną za pośrednictwem swojego adwokata. Kilka dni temu władze naszego uniwersytetu otrzymały krótką, pisemną odpowiedź. Pozwolę sobie zacytować treść listu – powiedział Kügen i w tym samym momencie wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki białą kopertę. Po chwili rozpostarł kartkę papieru i zaczął czytać: – Do dziekana Wydziału Historii i Sztuki. W odpowiedzi na Pańskie zapytanie, uprzejmie informuję, że rodzina Wittelsbach nigdy nie wyrazi zgody na ekshumację ciała Ludwika II. – Profesor podniósł wzrok, spojrzał po twarzach zebranych i rzekł: – Na tym kończy się treść listu, który został podpisany przez prawnika reprezentującego potomków dawnego króla.

Nagle z głębi sali zaczęły padać pytania, zrobił się gwar, a reporterzy przekrzykiwali się nawzajem. Każdy chciał o coś zapytać i chyba wszyscy oczekiwali bardziej precyzyjnych wyjaśnień. Zamieszanie ustało dopiero po niespełna dwóch minutach, kiedy profesor uniósł nieznacznie do góry obie ręce i rzekł:

– Drodzy państwo, nasze dzisiejsze spotkanie zostało zorganizowane na prośbę środowisk naukowych, które z entuzjazmem

zaangażowały się w podjętą przeze mnie inicjatywę. Państwowy Wydział Medycyny Sądowej zadeklarował się przeprowadzić bezpłatną analizę szczątków, a pewna prywatna instytucja, specjalizująca się w badaniach genetycznych również zaoferowała swoje bezinteresowne wsparcie. Do grona dołączyło także Zrzeszenie Historyków Niemieckich, dzięki któremu otrzymałem wiele interesujących materiałów. Mogę śmiało powiedzieć, że armia ludzi o światłych umysłach byłaby gotowa poświęcić swój czas, wiedzę i niespożytą energię, aby dotrzeć do prawdy. Wyjaśnienie przyczyn śmierci Ludwika II być może zmieniłoby obraz bawarskiej historii, ale tak się nie stanie. Jesteśmy zmuszeni uszanować decyzję jego potomków i cieszyć się dziedzictwem, które nam pozostawił. Nie mam nic więcej do powiedzenia w tej sprawie.

Jeszcze tego samego dnia wiele stacji telewizyjnych całego świata, podało w swoich serwisach informacyjnych, krótką wzmiankę o monachijskiej konferencji. Na kilkadziesiąt sekund owa wieść zagościła na ekranach telewizorów, a potem przepadła w nawale innych wiadomości.

Książka, której autorem był profesor historii Karl Kügen została wydana w bardzo ekskluzywnej wersji, przypominającej album. Posiadała twardą oprawę, a jej treść była wzbogacona w liczne zdjęcia. Niektóre z nich można było uznać za unikatowe, bowiem przedstawiały wnętrza zamku Neuschwanstein, które obejmował zakaz fotografowania. Wydawca uzyskał jednak zgodę na wykonanie profesjonalnych ujęć, ale musiał z tego tytułu wnieść bardzo sowną opłatę. Dodatkowo podpisał zobowiązanie, że wizerunki zdjęć nie będą wykorzystywane poza publikacją noszącą tytuł „Bajkowy Król”. W pierwotnej wersji treść książki miała charakter opracowania historycznego i przypominała typowy podręcznik naukowy, będący szczegółową biografią Ludwika II Wittelsbach. Wydawca po zapoznaniu

się ze skryptem stwierdził, że mógłby się podjąć publikacji, ale postawił autorowi jeden warunek i miał wówczas powiedzieć:

– Panie profesorze, opracowanie jest intrygujące, ale w takiej formie nie zyska zbyt wielu czytelników. Treść musi mieć bardziej komercyjny charakter, ocierający się o beletrystykę. Oczekiwałbym więcej plastycznych opisów, namiastki emocji, odrobiny grozy i niesamowitości. W swoim tekście dowodzi pan, że Ludwik II był określany nie tylko przydomkiem Bajkowy Król, ale również nazywano go Ludwikiem Szalonym. Niech pan pójdzie głębiej, postara się oddać namiastkę baśni i szaleństwa. Jeden z akapitów opowiada o tym, że na zamku w Neuschwanstein Ludwik urządzał wystawne przyjęcia, na które nie zapraszał gości. Niech czytelnik doświadczy odrobinę tego dziwactwa. Niech ulegnie złudzeniu, że słyszy dźwięki muzyki, jakie rozlegały się w balowej sali, a oczami wyobraźni ujrzy suto zastawione stoły. Niech zobaczy jak ekscentryczny gospodarz odziany w wytworny strój, snuje się samotnie, rozmawiając z wyimaginowanymi postaciami. Odbiorca powinien poczuć dreszczyk emocji. Musi zostać zmuszony do refleksji i chociaż przez chwilę zastanowić się, dlaczego król utożsamiał się z wagnerowskim Parsifalem? Nie oczekuję, że pańskie dzieło zyska nagle formę powieści pełnej dialogów i sensacyjnych wątków. Niech się pan zastanowi, jak powinna zostać skonstruowana treść, żeby przemówiła do współczesnego czytelnika, który w literaturze szuka nie tylko wiedzy, ale również intelektualnej rozrywki.

Kügen wziął sobie do serca uwagi wydawcy, ale zanim zaczął myśleć nad nową formą, przeprowadził eksperyment. Poprosił swoje obie dorosłe córki, żeby zapoznały się ze skryptem i wyraziły szczerze opinie na temat lektury. Ich zdanie zostało dla dziekana tylko dodatkowym potwierdzeniem, że stworzył ciekawą opracowanie napisane chłodnym, akademickim językiem. W domyśle oznaczało to, że tekst na pewno nie jest porywający.

Po jakimś czasie profesor postanowił podjąć wyzwanie, aby spełnić oczekiwania przyszłego wydawcy i zaspokoić gusta po-

tencjalnych czytelników. W efekcie powstała bardzo interesująca książka, która ukazała się drukiem z początkiem 1986 roku. Jej premiera obejmowała wydania niemieckie, francuskie i angielskie, a ilość sprzedanych egzemplarzy okazała się bardzo zadowalająca.

Kügen przyjął nietypową narrację dla swojego dzieła. Można stwierdzić, że znalazł pomysł będący prawdziwym strzałem w dziesiątkę.

Jeden z fragmentów „Bajkowego Króla” brzmiał następująco:

Zdobycie rzetelnej wiedzy, opartej wyłącznie na faktach, zajęło mi długie miesiące. Obsesyjnie poszukiwałem wszelkich informacji na temat najbardziej znanego, bawarskiego władcy. Zebrałem pokaźną dokumentację, wszedłem w posiadanie kopii dokumentów z ubiegłego wieku oraz dziesiątek zdjęć. Ktoś mógłby uznać moje słowa za nieskromne, ale zgromadziłem archiwum, jakiego nie powstydziliby się żadne, niemieckie muzeum. Kiedy dziś myślę o swoich początkach związanych z odkrywaniem przeszłości Ludwika II śmiem twierdzić, że zostałem rażony chorobliwą pasją, noszącą znamiona obsesji. Jednak dzięki poszukiwaniom wiedzy, poznałem wielu interesujących ludzi, którzy okazali się bardzo pomocni w mojej pracy. Dzięki ich życzliwości, zdobyłem sporo informacji, aż dojrzałem do finalnego momentu królewskiej biografii i zdałem sobie sprawę, że najtrudniej będzie rozwiązać wątpliwości związane z jego śmiercią. Dostrzegam jedno sensowne rozwiązanie, lecz realizacja takiego pomysłu byłaby możliwa tylko za zgodą potomków rodziny Wittelsbach. Na chwilę obecną muszę jednak przemilczeć ten temat ufając, że przyszłość okaże się łaskawa. Teraz natomiast podzielę się z Wami wiedzą, gdzie historyczna prawda, ociera się o ludowe podania i legendy.

W ubiegłym stuleciu etat nadwornego lekarza był rzeczą zupełnie naturalną. W świecie Ludwika II taką rolę pełnił Bernhard von Gudden. Uchodził za cenionego neuroanatomę i psychiatrę. Według własnego pomysłu opracował przyrząd, służący do

badań histologicznych mózgu, który nazwał mikrotomem. Obaj z królem znali się od lat, a ich stosunki należały do życzliwych. Jednak 9 czerwca 1886 roku Gudden wydał zaskakującą opinię i oświadczył, że Ludwik II jest osobą niepoczytalną. Jeszcze tego samego dnia władca Bawarii został pozbawiony tronu i przewieziony do zamku Berg, znajdującego się nad brzegami jeziora Starnberger. Lekarz towarzyszył Ludwikowi. Cztery dni później 13 czerwca obaj panowie udali się na popołudniowy spacer. Dzień był nieco chłodny, dlatego też wyszli odziani w płaszcze. Minęło kilka godzin, zapadł już zmierzch, ale wędrowcy nie powrócili. Służba rozpoczęła intensywne poszukiwania. Przed północą dostrzeżono dwa ciała dryfujące na wodach jeziora. Najdziwniejszym wydaje się fakt, że żaden z mężczyzn nie poszedł na dno. Na twarzy psychiatry stwierdzono sińce i liczne zadrapania, natomiast na zwłokach jego towarzysza nie było żadnych śladów. Bardzo szybko wysunięto teorię, że zdetronizowany władca, w akcie zemsty zabił lekarza, a następnie popełnił samobójstwo. Ciało Ludwika wyciągnięto z wody, ale nie było ono już odziane w płaszcz.

Zwłoki martwego króla ułożono w karecie i jeszcze tej samej nocy przewieziono do Monachium. Kondukt liczył sobie dziesiętki ludzi, którzy maszerowali pogrążeni w smutku, a każdy z nich dzierżył w dłoni płonącą pochodnię.

Po przybyciu na miejsce ciało Ludwika poddano szczegółowej autopsji. W myśl bawarskiej tradycji serce króla zostało wycięte i włożone do srebrnej urny. Umieszczono ją w Kaplicy Miłosierdzia w Altötting, gdzie są zgromadzone podobne relikty dawnych władców tej ziemi. Ciało Ludwika zostało ubrane w wytworne szaty z regaliami Zakonu Świętego Huberta i wystawione na widok publiczny w kaplicy królewskiej. Straż w galowych mundurach pełniła wartę przy zwłokach monarchy.

Pogrzeb odbył się 19 czerwca 1886 roku. Na mszę żałobną przybyły niezliczone tłumy. Grobem Ludwika II została krypta rodziny Wittelsbach, która do dziś znajduje się w podziemiach

monachijskiego kościoła pod wezwaniem św. Michała i jest dostępna dla zwiedzających. Muszę nadmienić, że ów kościół uznaje się za wybitne dzieło renesansu z wyraźnymi elementami baroku. Z chwilą gdy trumna z ciałem króla zjawiała się w kościele, nad miastem rozpętała się gwałtowna burza. Natomiast w momencie, kiedy składano ją w grobie, jasna błyskawica przecięła niebo i rozległ się ogłuszający huk. Owo zjawisko atmosferyczne nie jest moim wymysłem, lecz świadectwem podań, które przetrwały nie tylko w formie opowieści, ale również w postaci kronik i urzędowych dokumentów.

Ludwik II był szanowany i lubiany przez swoich poddanych, którzy mówili o nim „nasz umiłowany król”. Bardzo wielu z nich nigdy nie uwierzyło w oficjalną wersję wydarzeń, uznanych za przyczynę śmierci bawarskiego władcy. Po jego śmierci zamek Neue Burg Hohenschwangau, zyskał dopiero nazwę Neuschwanstein, którego sława i architektura nie ma sobie równych. Baśniowa budowla jest znana nawet dzieciom, bowiem posłużyła za inspirację dla utalentowanych rysowników z firmy Walta Disneya. Wizerunek zamku został umieszczony w czołówce ich produkcji filmowych i animowanych oraz posłużył za pierwowzór siedziby Śpiącej Królowej we wszystkich Disneylandach świata.

Przez następane pokolenia okoliczni mieszkańcy z ust do ust przekazywali sobie opowieści sugerujące, że Ludwik II padł ofiarą spisku uknutego przez swego stryja i oddanych mu ministrów. Faktem jest, że nigdy nie odnaleziono królewskiego płaszcza, w którym udał się na swój ostatni spacer. Plotka głosi, iż obecnie wiekowa odzież jest w posiadaniu rodziny Wittelsbach, a na materiale są widoczne dwie dziury po kulach.

Scena II

Łzy świętego Wawrzyńca

Iłża. Sierpień, rok 1995.

Zbliżała się dwudziesta druga, kiedy młody mężczyzna wszedł do pokoju. Na fotelu siedziała jego ciężarna małżonka i znudzonym wzrokiem wpatrywała się w ekran telewizora.

– Kochanie – powiedział z uśmiechem na ustach – mam świetną propozycję! Weźmiemy koc i pójdziemy na łąkę nieopodal zamku. Dzisiejszej nocy ponoć przypada maksimum roju Perseidów i będziemy mieli okazję zobaczyć niezwykle, kosmiczny spektakl.

Kobieta spojrzała na niego marszcząc brwi i odburknęła:

– Ty jesteś chyba niepoważny! Myślisz, że ja mam siłę i ochotę na nocne spacerki?!

– Madziu, no chodźmy – odparł zachęcającym, łagodnym tonem. – Położymy się na łące, będziemy wypatrywać spadających gwiazd i wypowiadać swoje marzenia.

– Mogę ci zdradzić moje marzenia bez gapienia się w niebo – powiedziała z nieukrywaną ironią. – Chcesz je usłyszeć?

– Oczywiście – odparł, siląc się na uprzejmość.

– Po pierwsze, chciałabym już mieć za sobą poród. Czekam na rozwiązanie, jak na zbawienie. Mam dość, rozumiesz? Jest mi ciężko i jestem już tym wszystkim potwornie zmęczona. Myślisz, że to takie przyjemne dźwigać przed sobą brzuch wielkości beczki? Spójrz tylko na moje opuchnięte stopy. Trudno mi podnieść się z miejsca, a ty proponujesz spacer na drugi koniec Iłży! Wiesz co Michał, bardzo ci dziękuję za tak wątpliwą rozrywkę – powiedziała i z politowaniem pokiwała głową. – Natomiast moje drugie marzenie, jest związane z tobą. Chciałabym, żebyś w końcu znalazł sobie jakąkolwiek pracę. Za kilka miesięcy przestasz otrzymywać zasiłek i zacniemy klepać biedę. Będziemy dziadować, zdani na łaskę naszych rodziców.

– Masz do mnie pretensje, że w wyniku redukcji etatów zostałem zwolniony? – odpowiedział oschłym tonem. – Czy to moja wina, że w Iłży nikt nie oferuje zatrudnienia? Szukałem pracy w Radomiu, w Starachowicach, w Skarżysku Kamiennej i zjeździłem chyba wszystkie firmy w Ostrowcu Świętokrzyskim. Gdzie jeszcze mam szukać? Dokąd się udać? Całymi dniami siedzisz przed telewizorem i oglądasz jakieś idiotyczne seriale. Może posłuchaj wiadomości, a wtedy dowiesz się, że prywatyzacja pchnęła nasz kraj w gospodarczą zapaść...

– Będę oglądać to, na co mi przyjdzie ochota – wpadła mu w zdanie. – Poza tym ja nie straciłam pracy. Korzystam z dobrodziejstw systemu, a że bardzo trudno znoszę ciężę, mam prawo być na zwolnieniu! Po porodzie na pewno zdecyduję się na urlop macierzyński.

– Możesz mi wyjaśnić, o co ci właściwie chodzi? – zapytał Michał i niemal natychmiast dodał, siłąc się aby jego głos nie oddawał negatywnych emocji: – Chciałem tylko, żebyśmy razem poszli w pogodną, sierpniową noc, popatrzeć na spadające gwiazdy i miło spędzili czas, a ty rzucasz się na mnie z pretensjami o pracę.

– Wiesz co, idź sobie! Po prostu idź wypatrywać meteorów! Jestem zmęczona i nie mam ochoty na żadne eskapady, ani jakiegokolwiek kłótnie o tej porze.

Michał wyszedł z domu. Pod pachą trzymał koc, a przez ramię miał przewieszoną wysłużoną, parcianą torbę. W jej wnętrzu spoczywała paczka papierosów i puszka z piwem. Wolnym krokiem zmierzał pustą ulicą, kierując się w stronę wzgórza, na którym widniały ruiny zamku wzniesionego ponad sześć stuleci temu. Światła latarni jarzyły się żółtym blaskiem, a wokół szklanych kloszy krążyły nocne ćmy. O tej porze ulice Iłży mogłyby posłużyć za sceneryę filmu o miasteczku, które z nieznanых powodów, zostało w pośpiechu opuszczone przez swoich wszystkich mieszkańców. Pogoda była bezwietrzna, a w uszach dźwięczała błoga cisza sierpniowej nocy.

Michał bardzo kochał swoją żonę, a z chwilą kiedy okazało się, że zaszła w ciążę, okazywał jej czułość i cierpliwość. Miał świadomość, że kobiety będące przy nadziei należy traktować w szczególny sposób, akceptować ich humorki i zachwiania nastrojów oraz spełniać najbardziej dziwaczne zachcianki. Jednak od trzech miesięcy Magda zaczęła zachowywać się w taki sposób, jakby chciała sprawdzić gdzie kończą się granice jego cierpliwości. Krótko mówiąc, wkurwiała go tak bardzo, że aż krew w żyłach zaczynała wrzeć. Czasami naprawdę trudno mu było zachować opanowanie. Wiele razy miał ochotę wrzasnąć albo uderzyć dłonią w stół, żeby przerwać dalszą, idiotyczną dyskusję. Jednak nigdy nie doszło do takiej sytuacji.

Magda i Michał byli rówieśnikami i od urodzenia mieszkali w Hży. Ich znajomość sięgała jeszcze czasów, kiedy uczęszczali do szkoły podstawowej. Natomiast jak mieli po siedemnaście lat, obudziły się w nich bardziej płomienne uczucia, silniejsze niż koleżeństwo i przyjaźń. Zbliżyli się do siebie. Zostało im dane doświadczyć młodzieńczej miłości. Miłości obopólnej, przepełnionej niecierpliwością i szalonymi zrywami serc. W swoich ramionach przeżyli pierwsze namiętne chwile, pełne subtelnej bliskości. Poznali czułość dotyku i smak gorących pocałunków. Pomiędzy nimi pojawiło się magiczne przyciąganie, zarówno fizyczne, jak i duchowe.

W roku 1990 oboje przystąpili do matury. Magda zaliczyła egzamin dojrzałości z wyróżnieniem, natomiast Michał oblał z matematyki i nigdy więcej nie podjął kolejnej próby. Swoją edukację zakończył na tym etapie i mógł o sobie mówić, że jest absolwentem technikum mechanicznego, który posiada wykształcenie średnie niepełne. Wiosną 1991 roku otrzymał powołanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej i kolejnych osiemnaście miesięcy, spędził w szeregach armii. Trafił do koszar w miejscowości Żary i tam szkolił się na artylerzystę. Będąc żołnierzem zrozumiał, że prawdziwych kumpli spotyka się w wojsku. W armii poznał chłopaka, który pochodził ze Śląska i nazywał się

Norbert Drabiniok. Obaj przypadli sobie do gustu i połączyła ich męska przyjaźń. Długa rozłąka, była jednocześnie egzaminem uczuć, które spłotyły losy Magdy i Michała. Niewielu wierzyło, że ich znajomość przetrwa próbę czasu i odległości. Jednak oni udowodnili całemu światu, że są sobie pisani.

Jesienią 1992 roku Michał został rezerwistą. Niespełna miesiąc po powrocie do Hły, otrzymał pracę na stanowisku ślusarza w Zakładach Górniczo-Hutniczych z siedzibą w Zębcu. Magda natomiast zdążyła w międzyczasie ukończyć dwuletnie studium, związane z finansami i rachunkowością. Jeszcze w tym samym roku zostali oficjalnie narzeczeństwem, a w maju 1993 roku planowali zawrzeć związek małżeński. Zaproszenie na ceremonię wraz z osobą towarzyszącą, otrzymał Norbert Drabiniok, który przyjechał z Rybnika na ślub swojego najlepszego kumpla. Państwo młodzi mieli ten luksus, że mogli zamieszkać w domu rodziców Michała, otrzymując do dyspozycji całe pierwsze piętro.

Zanim młodzi stanęli na ślubnym kobiercu Leonard Werlich miał rzec:

– Synu, mamy cię tylko jednego. My z matką nie będziemy żyć wiecznie, a po naszej śmierci dom będzie należał do ciebie. Ja wiem, że to nie jest willa jak z katalogu, ale co swoje to swoje. Nie komplikujcie sobie życia, zamieszkajcie na piętrze. Na pewno nie będziemy sobie zawadzać. Dorobicie się, a jak uznacie, że pora iść na swoje, nikt nie będzie was zatrzymywał.

Magda nie miała nic przeciwko, a prawdę mówiąc, była nawet z tego powodu zadowolona.

Półtora roku później młodzi państwo Werlich zdecydowali się na dziecko. Magda zasła w ciążę, a termin porodu miał przypaść pod koniec sierpnia 1995 roku. Wspólnie ustalili, że jeśli dziecko będzie płci męskiej, otrzyma imię po swoim dziadku ze strony ojca. Natomiast jeśli okaże się dziewczynką, wówczas zostanie ochrzczona imieniem Zofia, po swojej babci ze strony matki.

Czas leniwie sunął do przodu. Wszystko było dobrze, aż do chwili kiedy przedsiębiorstwo z Zębca zniemacka wpadło w pro-

blemy natury finansowej. Z dnia na dzień dyrekcja ogłosiła redukcję etatów. W pierwszej kolejności pracę stracili najmłodszy stażem, a Michał zaliczał się do ich grona. Z początkiem czerwca, został zmuszony zarejestrować się w Powiatowym Urzędzie Pracy. Mniej więcej w tym samym czasie ciężarna Magda zaczęła miewać swoje bardzo abstrakcyjne nastroje. Coraz częściej zachowywała się tak, jakby chciała udowodnić całemu światu, że jest zniesmaczona, znudzona i zde gustowana. W ich domu zagościły drażliwe sytuacje, a zgorzkniała atmosfera burzyła sielankową egzystencję. Drobne sprzeczki i potyczki czasami przeistaczały się w litanię wyimaginowanych problemów i ukrytych żalów. Michał jednak znosił wszystko nad wyraz cierpliwie. Zdawał się być ostoją spokoju i anielskiej tolerancji.

W tej chwili szedł samotnie ulicą i było mu trochę przykro. Dzisiejszy wieczór – szepnął w myślach – *możliśmy spędzić w uroczy sposób. Jutro podczas śniadania na pewno usłyszę, że jest jej głupio. Znowu stwierdzi, że zachowała się jak zółta...*

Ruiny iłżeckiego zamku z oddali przypominały czarną, gigantyczną makietę, która odznaczała się na tle nieba usianego plejadami połyskujących gwiazd. Widok był iście urzekający, a najdosadniej wyróżniała się strzelista baszta, wzniesiona na planie koła.

Michał leżał na kocu i spoglądał w bezkres kosmosu. Powietrze i przestrzeń były tak klarowne, że majestatyczna smuga Drogi Mlecznej, zdawała się być na wyciągnięcie ręki. Pejzaż, za którym czaił się nieskończony wszechświat, miał w sobie coś kojącego. Do jego uszu docierało cykanie świerszczy i nagle przypomniał sobie słowa spikera, który w porannej, radiowej audycji, zachęcał słuchaczy aby przed północą zwrócili swe oczy ku gwiazdom. Prezenter twierdził, że dzisiejszej nocy przypadnie największa intensywność Perseidów, które zyskały sobie również poetycką nazwę i są określane mianem „leż świętego Wawrzyńca”. Potem radiowiec pokusił się o żart i stwierdził,

że podczas deszczu spadających gwiazd, mamy szansę wypowiedzieć wiele swoich najskrytszych marzeń, które powinny się spełnić.

Kosmiczny spektakl rozpętał się niespełna kwadrans po dwudziestej trzeciej. Niebo zaczęły przeszywać pojedyncze smugi meteorów, ale z minuty na minutę ich częstotliwość stawała się coraz większa. Jasne błyski, a każdy z nich trwał zaledwie ułamek sekundy, pruły sierpniowe niebo. Na arenie przestworzy rozgrywało się zachwycające widowisko.

Michał leżał na wznak i wpatrzony w niebo, liczył spadające gwiazdy. Chwilę po tym, kiedy ujrzał pierwszą, w jego umyśle zagościło z pozoru prozaiczne życzenie. Chciał, żeby Magda urodziła mu syna. Deszcz Perseidów pozwalał na wypowiedzenie wielu najskrytszych oczekiwań, ale Michał postanowił przechytryć przepowiednię. Liczył mrugnięcia spalających się w ziemskiej atmosferze meteorów, a każde z nich przekładał na konkretną kwotę pieniędzy. Jedna spadająca gwiazda, oznaczała dla niego jeden milion polskich nowych złotych. Nim wybiła północ, doliczył się trzydziestu trzech łez świętego Wawrzyńca. W duchu uznał, że taka liczba jest wystarczająca i dopiero wtedy wypowiedział swoje nierealne marzenie. Szepnął pod nosem:

– Chciałbym zdobyć taką forszę, zanim świat wkroczy w nowe tysiąclecie!

Wracając do domu, dwudziestopięcioletni Michał Werlich, nawet nie podejrzewał, że jego życzenia zostaną zniszczone. Nie należał do ludzi, którzy przesadnie martwią się przyszłością i wybiegają myślami daleko w przód. Swoje dzieciństwo oraz młodość, spędził w Ilży i nigdy nie planował migracji poza rodzinne strony. W tej chwili nie miał pojęcia, że jego życie zmieni się, kiedy już tak naprawdę zostanie ojcem. Będzie kimś więcej, niż tylko dobrym mężem, dbającym o wygodę ciężarnej współmałżonki. Przyjdzie mu wówczas poznać męskie poczucie obowiązku i odpowiedzialności. Potem los sprawi, że odkryje w sobie zmysły i talenty, które uczynią go bardzo majątym czło-

wiekem. Zapewni swojej rodzinie życie na wysokim poziomie. Będzie się czuł spełniony i szczęśliwy. Osiągnie sukces. Zrealizuje większość swoich zawodowych planów. Jednak pewnego dnia świat Michała Werlicha bezpowrotnie legnie w gruzach. Pieniądze i wszelkie dobra materialne, przestaną dla niego mieć jakiegokolwiek znaczenie. W drugiej połowie lata 2015 roku również przyjdzie mu podziwiać mknące niebem roje Perseidów, ale będzie wówczas kuracjuszem resortu, specjalizującego się w regeneracji zdrowia psychicznego.

Scena III

Coś jest nie tak!

Upłynęły cztery dni od chwili, kiedy Michał w samotności podziwiał nocą spektakularne zjawisko na sierpniowym niebie. Przez ten czas w jego życiu nie wydarzyło się nic szczególnego, ale za to dla Magdy zbliżał się nieuchronnie dzień rozwiązania. Zgodnie z zaleceniami lekarza młodzi państwo Werlich zjawili się w radomskim szpitalu na trzy dni przed planowanym porodem. Magda została przyjęta na oddział położniczy i teraz pozostało jej jedynie cierpliwie czekać na cud narodzin. Z jednej strony chciała już mieć to przeżycie za sobą, a z drugiej była pełna obaw i lęków. Zdążyła się nasłuchać wielu kobiecych wspomnień, które w przeszłości zostały matkami. Z ich opowieści wyłaniał się obraz fizycznych, bolesnych doznań oraz zapowiedź magicznych uczuć, które są warte każdego cierpienia.

Na dzień przed wyjazdem do szpitala, Magda złożyła odwiedziny swoim rodzicom.

– Nie bój się córeczko – powiedziała jej matka pocieszającym tonem – ja urodziłam waszą piątkę i jak widać przeżyłam. Za każdym razem było ciężko i bolało, jednak kiedy ujrzysz swoje dziecko w rękach lekarza lub położnej, ogarnie cię poczucie niesamowitego szczęścia. Na widok swojej kruszynki zapomnisz o całym świecie. Kiedy położą ci maleństwo na piersi, zrozumiesz, że ono

jest twoim najcenniejszym skarbem i że było warto doświadczyć wszystkich poświęceń – rzekła z uśmiechem na ustach.

Michał obiecał swojej żonie, że będzie przyjeżdżał do szpitala każdego dnia i dotrzymał słowa. W okolicach południa zjawiał się w odwiedziny. Na oddziale położniczym panował zwyczaj, że wizyty odbywały się w telewizyjnej sali, bowiem osoby trzecie miały zakaz wstępu do szpitalnych izb. W głównej mierze chodziło o to, aby kobiety czekające na poród, nie czuły z tego powodu dyskomfortu.

Każda wyprawa z Iłży do Radomia miała charakter kilkugodzinnego wypadu. Prywatnym samochodem pokonanie trasy w jednym kierunku zajmowało niespełna pięćdziesiąt minut, doliczając do tego czas wizyty i drogę powrotną, robiły się trzy godziny jak nic. Michał jednak nie posiadał własnego pojazdu, a pożyczanie poloneza od ojca nie wchodziło w rachubę. Leonard Werlich był ciągle aktywny zawodowo i każdego dnia musiał dojeżdżać do starachowickiej fabryki, gdzie pracował prawie od trzech dekad.

Jeszcze kilka lat temu połączenia komunikacyjne, pozwalały co godzinę dostać się do Radomia, ale od ponad roku drastycznie zmalała ich częstotliwość. Teraz dojazdy były ponoć dostosowane do potrzeb mieszkańców Iłży, którzy nie podzielali tej teorii. W ich mniemaniu spółka, w jaką przerodził się dawny państwowy przewoźnik, dokonała chłodnej kalkulacji zysków i strat. Obecnie z Iłży w ciągu dnia odjeżdżały do Radomia tylko cztery autobusy i tyle samo było kursów powrotnych. Michał wyruszał w podróż do szpitala o dziesiątej czterdzieści pięć, natomiast najwcześniej mógł wrócić kursem o piętnastej trzydzieści. Każda eskapada trwała ponad pięć godzin... Po powrocie do rodzinnej miejscowości przyszedł ojciec odwiedzać wypożyczalnię kaset video. Zawsze uważał siebie za kinomana, a oglądanie filmów było jego ulubionym zajęciem. Odtwarzacz video kupił dawno temu, będąc jeszcze reprezentantem kawalerskiego stanu. Z chwilą kiedy został szczęśliwym posiadaczem urzędnika,

umożliwiającego oglądanie filmów, zaczął korzystać z usług lokalnej wypożyczalni snów. Filmy traktował jako doskonałą rozrywkę i odskocznię od prozy dnia codziennego. Był prawdziwym pasjonatem X muzy i Magda wiele razy mówiła w żartach, że powinien zostać krytykiem filmowym.

W czwartkowe przedpołudnie Michał ponownie zjawił się w szpitalu. Był lekko zaniepokojony, bowiem termin porodu miał przypaść dwa dni temu. Od tamtej pory dręczyło go niepokojące przeczucie, a w jego myślach czaiło się złowieszcze zdanie: – *Coś jest nie tak!* Ukojenia nie przyniosły nawet słowa lekarza, który zapewniał oboje młodych rodziców, że powinni przyjąć odrobinę tolerancji czasowej i nie traktować prognozowanej daty porodu jako ostatecznej.

– Cięża ma prawidłowy rozwój – stwierdził lekarz – na bieżąco śledzimy pojawiające się u pani rozwarcie. Moim zdaniem do narodzin dojdzie w trakcie trzech najbliższych dni. Proszę się odprężyć, zachować spokój i być dobrej myśli.

Następnego dnia młodzi państwo Werlich ponownie spędzili z sobą czas w sali telewizyjnej.

– Nie martw się – powiedziała Magda i złapała swojego męża za dłoń. – Dzisiaj urodzę.

– To chyba ja powinienem pocieszać ciebie, a nie ty mnie – stwierdził jej rozmówca.

– Teoretycznie masz rację – zażartowała. – Wiesz czego tak naprawdę jestem ciekawa?

– Czego?

– Czy sprawdzisz się w roli ojca.

– Ja?! – odpowiedział pytaniem i niemal natychmiast dodał: – Będę najlepszym tatą na świecie!

Punktualnie o piętnastej trzydzieści Michał wsiadł do autobusu. Przez najbliższych pięćdziesiąt minut, czekała go podróż do Iłży.

Zajął miejsce i spojrzął w okno.

Ponad dachami Radomia rozpościerał się nieskazitelny błękit sierpniowego nieba. Dzień był upalny, a zarazem bardzo duszny.

Powietrze wydawało się gęste i ciężkie, jakby przyroda w ten oczywisty sposób chciała zakomunikować, że niebawem nadejdzie letnia burza.

Kwadrans po dwudziestej Magda nabrała przekonania, że dzisiejszego wieczoru rozegra się najważniejsze wydarzenie w jej dotychczasowym życiu. Najpierw ogarnęła ją fala nieprzyjemnych nudności, potem poczuła wilgoć w okolicach krocza i intensywny ból w krzyżu. Objawy sugerowały, że nowy mieszkanie świata jest już gotów obwieścić ludzkości swoje istnienie.

Oddziałowa pielęgniarka kazała przygotować salę porodową i powiadomiła lekarza.

Magda bardzo szybko zrozumiała, że nie będzie w stanie zastosować się do podręcznikowych instrukcji i zaleceń. Teoretyczna wiedza mknęła trajektorią wiodącą do nieuniknionej kolizji z rzeczywistością.

Bardzo bolesną rzeczywistością.

Kiedy pielęgniarki zabierały ją z sali, zdążyła jeszcze zerknąć w okno. Zobaczyła, że na ścianach budynków, maluje się intensywna poświata zachodzącego słońca. Natomiast w oddali, ponad dachami domów, widniał rozległy, ciemnobrunatny całun ponurych chmur.

Osoby pasjonujące się fotografią określają ten moment dnia „złotą godziną”. Gra światła, cieni i barw, potrafi stworzyć niesamowicie urzekające kompozycje. Nawet znajome, mało urokliwe miejsca, wyglądają wówczas jakby nabrały bajkowego charakteru. Podczas „złotej godziny” ich naturalna brzydota i pospolitość przepadają bez wieści. Zwykle budynki przeistaczają się w dodatki do malowniczych pejzaży, nasyconych głębią magicznych kolorów. Gdyby w tej chwili ktoś nawet mało wrażliwy na piękno, miał okazję spojrzeć z oddali na radomski szpital, dostrzegłby zachwycający widok. Kompleks wzniesiony z prostokątnych, betonowych brył, oświetlały promienie zachodzącego słońca. Niektóre z okien połyskiwały i mieniły się niczym szczerozłote sztaby

najcenniejszego z kruszców. W oddali linia horyzontu zdawała się zniknąć, jakby została wchłonięta przez złowieszczy maszyn ciemnych chmur. Brunatna płachta z każdą chwilą zawłaszczając coraz większe połacie błękitnego nieba, jakby szykowała arenę walki pomiędzy dobrem i złem, jasnością i mrokiem, życiem i śmiercią.

Wiatr z każdą chwilą przybierał na sile. Już nie kołysał gałęziami, ale dął z całą mocą, jakby chciał zmusić korony drzew, aby oddały pokorne pokłony przed zbliżającym się majestatem. Z otchłani posępnych chmur docierały groźne pomruki grzmotów. Raz po raz dało się zauważyć, jak ponurą toń nieba, przesywają flesze błyskawic.

Nadciągał żywioł.

Zbliżał się.

Przybywał, aby ukazać światu swą potęgę.

Zawsze, kiedy słońce już zajdzie za horyzontem, wówczas po przeciwnej stronie nieba widać jak przestrzeń pochłania ciemność. Jest delikatna, zazwyczaj wydaje się niewinna i tajemnicza. Niesie z sobą zapowiedź odpoczynku i zasłużonego snu. Jednak w tej chwili na wschodzie jawił się obraz oddający grozę z kart gotyckich powieści. Niebo ponad horyzontem, gdzie każdego świtu majaczy blask jutrzeńki, teraz wyglądało niczym rozwarte na oścież wrota, wiodące do krainy czarnych czeluści.

Świat zniecka utonął w strugach ulewnego deszczu. W okamgnieniu ulice przeistoczyły się w rwące potoki. Krople deszczu z impetem uderzały w szyby i parapety, a ich dźwięk przypominał takty szatańskiej symfonii. Im bardziej niebiosy stawały się mroczne, tym wyraźniej było słychać grzmoty piorunów. Epicentrum burzy zmierzało w stronę kompleksu szpitalnych budynków. Z oddali ów widok był zachwycający i niesamowicie zjawiskowy. Przypominał kumulację atmosferycznych wyładowań, jakby jakaś tajemna siła wskazywała błyskawicom miejsce, w które powinny wymierzać swe ciosy. Za każdym razem, kiedy rozgniewane niebo przesywał osłepiający blask, natychmiast rozlegał się potworny huk.

– Przyj kochanie! Przyj! – powtarzała połoźna.

Magda słyszała docierające do uszu słowa, ale nie miała już sił. Czuła tylko przerażający ból, jakby ktoś próbował ją bestialsko rozszarpać. Jej włosy wyglądały niczym zwilżone strąki. Miała wrażenie, że każdy centymetr kwadratowy jej ciała jest mokry od potu. W skroniach słyszała dudnienie przyśpieszonego pulsu.

– Przyj złociutka! Jeszcze trochę i będzie po wszystkim! Przyj!

Wykrzesana z siebie resztkę sił i z krzykiem na ustach zmusiła się do morderczego wysiłku. W tym samym momencie, kiedy dziecię wymknęło się z jej łona niczym orzeszek ze skorupki, rozbrzmiał ostatni, przerażający grzmot. Wyładowanie sprawiło, że wszystkie światła radomskiego szpitala zadrżały, jakby na ułamek sekundy zostały pozbawione zasilania.

– Mamy go! Chłop jak dąb! – powiedział lekarz, odcinając pępowinę.

Magda ocknęła się w środku nocy. Przez chwilę leżała z otwartymi oczami i wpatrywała się w cienie pełzające po suficie. Czuła się tak, jakby pokonała zabójczy tor przeszkód. Nie była w stanie udzielić sobie odpowiedzi, ile czasu rodziła? Ile trwała ta męka? Nie potrafiła skojarzyć, czy pozwolili jej przytulić noworodka? Miała jedynie świadomość, że urodziła chłopca i na tym kończyła się jej cała wiedza.

Przez umysł młodej mamy toczyła się lawina myśli, a każda z nich niosła z sobą pytania. Czy jest zdrów i cały? Czy wszystko z nim w porządku? Gdzie teraz jest? Kto się nim zajmuje? Kiedy będzie mogła wziąć swoje dzieciątko w ramiona? Ogarniały ją przedziwne uczucia. Nie umiała ich nazwać słowami, chociaż owe doznania były bardzo intensywne. Miała wrażenie, że poród wyzwolił w niej głęboko ukryte emocje. Nagle zaczęła rozumieć sens słów, które miała okazję usłyszeć z wielu kobiecych ust:

– Prawdziwe oblicze miłości poznasz z chwilą, kiedy zostaniesz matką!

Jeszcze przed zwyczajową, poranną wizytą lekarską, każda młoda mama mogła nacieszyć się widokiem, dotykiem i obecnością swojego dzieciątka.

Pielęgniarka podała Magdzie oseska opatulonego w becik. Trudno było powiedzieć, czy mały człowieczek spał. Miał zamknięte powieki, a na jego niewinnej buźce gościł grymas zadowolenia. Wyglądał odrobinę komicznie, bowiem miał ciemne kudełki, a licha fryzurka ułożyła się w koguci czubek. Na jego drobnych usteczkach majaczył błogi uśmiech. Magda przez chwilę spoglądała z zachwytem na bezbronną kruszynę i pomyślała, że tak właśnie wygląda ziszczenie wszystkich najcudowniejszych marzeń. Powoli wyciągnęła przed siebie prawą dłoń i grzbietem palców, delikatnie i z czułością, pogładziła policzek swojego synka. Dotyk sprawił, że twarz chłopczyka na moment przybrała wyraz lekkiego zaskoczenia. Być może jego receptory odczytały jedno z pierwszych wrażeń i natychmiast przesłały do umysłu impuls doznania. Jednak ta krótka i prozaiczna sytuacja, wywołała również niespodziewaną reakcję w świadomości młodej mamy. Magda niemal natychmiast cofnęła swoją dłoń, a w jej umyśle rozbrzmiała z krzykiem koszmarna myśl:

– *Coś jest nie tak!*

AKT II

Aria tenora

Scena I

Sudecka Ostoja

Sierpień, rok 2015.

Pieszny szlak turystyczny, wiodący z miejscowości Radków do Wambierzyc, liczy sobie niespełna pięć kilometrów. Najpierw droga snuje się pośród pagórków pokrytych połaciami malowniczych pól, a potem przechodzi w leśny trakt. Każdy, kto miał okazję pokonać ową trasę na pewno przyzna, że taki spacer należy do przyjemności. Tamtejsze okoliczności przyrody są urzekające, a widok rozległego pasma Sudetów potęguje dodatkowe wrażenia. Podczas słonecznej pogody ze szlaku można podziwiać imponujący masyw Gór Stołowych, którego odległość w linii prostej nie przekracza siedmiu kilometrów. Ich najwyższym szczytem jest Szczeliniec Wielki, który wznosi się 919 metrów nad poziomem morza. Z oddali przypomina potężny blok skalny o ściętym wierzchołku, który dominuje nad okolicą porośniętą iglastymi lasami. Przez długie stulecia Szczeliniec był zapewne świetnym punktem orientacyjnym dla wędrowców, pielgrzymów i kupieckich karawan, a w miarę upływu czasu stał się atrakcją turystyczną. Owo miejsce odwiedziło wielu znanych ludzi. Jedną z tablic upamiętniających szczególną wizytę głosi, że z końcem lata 1790 roku zawitał tam Johann Wolfgang von Goethe. W drugiej dekadzie XIX wieku niejaki Franz Pabel, doprowadził do utworzenia trasy wiodącej na szczyt, która została wykonana z 665 kamiennych stopni. Jego dziedzictwo przetrwało do dziś. Dzięki tej godnej pochwały inicjatywie, niezliczone rzesze amatorów górskich wędrówek miały, mają i jeszcze długo będą mieć okazję, aby pokonać szlak wytyczony przez kamienne schody. Po dotarciu na ich szczyt, wysiłek każdego piechura zostaje wynagrodzony, bowiem może spojrzeć na widoki, zapierające dech w piersiach.

W roku 2009 trzech lekarzy, którzy związali swoje kariery z dziedzina psychiatrii, postanowiło otworzyć firmę. Panowie założyli spółkę cywilną. Wszyscy byli mieszkańcami kotłiny kłodzkiej, a ich stosunki od wielu lat pozostawały na przyjacielskiej stopie. Mężczyźni byli w zbliżonym wieku, posiadali rodziny i podzielali identyczne, zawodowe pasje. Stanowili zgraną paczkę i darzyli się zaufaniem. Zanim wzięli sprawy we własne ręce, każdy z nich pracował na szpitalnym etacie, a po godzinach urzędował w swoim prywatnym gabinecie. W przeszłości wiele razy podczas spotkań na towarzyskim gruncie, rozważali możliwość połączenia sił i wiedzy na rzecz wspólnego interesu. Każdemu z nich pomysł wydawał się interesujący, ale był również ryzykowny i rozbijał się o kwestie natury materialnej. Kiedy pewnego dnia okazało się, że dzięki funduszom z Unii Europejskiej mogą uzyskać Iwią część pieniędzy na sfinansowanie odważnego zamierzenia, postanowili podjąć wyzwanie.

Trójka lekarzy miała jasno sprecyzowane i przemyślane plany. Ich oferta była odpowiedzią na potrzeby majątnych klientów. Bazując na swoich zawodowych doświadczeniach popartych wieloletnią praktyką doszli do wniosku, że współczesne tempo życia jest przyczyną wielu poważnych i uciążliwych dolegliwości psychicznych. Depresje, fobie, stany lękowe, załamania na tle nerwowym, zmęczenie prowadzące do wypalenia sił witalnych, uzależnienia od zgubnych nałogów, bezsenność... Lista problemów boleśnie odbijających się na ludzkiej psychice, zdawała się nie mieć końca. Zamiarem mężczyzn było stworzenie profesjonalnej kliniki, mającej za zadanie przyjąć z pomocą współczesnym krezusom, którzy z jakiegoś powodu poczuli się zagubieni lub przytłoczeni, otaczającą ich rzeczywistością.

Cenieni psychiatrzy podjęli odważną i bardzo niekonwencjonalną decyzję. Fundusze, które otrzymali z ramienia Unii Europejskiej oraz pokaźny kredyt bankowy, jaki ich spółka została zmuszona zaciągnąć, zainwestowali w kupno ziemi i budowę ośrodka. W ciągu niespełna szesnastu miesięcy, mieli do dys-

pozycji kompletnie wyposażony, dwupiętrowy budynek. Obiekt był ulokowany w leśnej gęstzynie, nieopodal pieszego szlaku, który prowadził z Radkowa do Wambierzyc. Do okazałej siedziby można było dojechać tylko polną, utwardzoną tłuczniem drogą. Rozległą parcelę otaczał wysoki płot, a wjazdu na jej teren broniła wysoka brama wykonana z kutek, stalowych prętów. Przed wjazdem znajdował się elegancki szyld, na którym widniał napis:

RESORT
„SUDECKA OSTOJA”

Lekarze uznali, że w turystycznym aspekcie słowa „resort”, kryje się mocny przekaz, który w podświadomości każdego człowieka kojarzy się z ekskluzywnym i kosztownym wypoczynkiem. Zważywszy jeszcze na fakt, iż nie można było, ot tak z marszu wejść na teren ośrodka, owa sugestia zdawała się potęgować prestiż. Wiele razy zdarzało się, że jacyś turyści dostrzegli z oddali okazały budynek w środku lasu. Nabierali przekonania, że spoglądają na hotel i tym samym wyciągali wniosek, iż musi się tam znajdować restauracja. Dopiero po dotarciu przed bramę, która uniemożliwiała dalsze wejście oraz widok wysokiego płotu i ulokowanych na nim kamer monitorujących, wszyscy wykonywali przysłowiowy „w tył zwrot”. Okoliczni mieszkańcy byli świadomi, że budynek stojący na odludziu, nie ma nic wspólnego z tradycyjną branżą wypoczynkową. Złośliwi, potocznie określali to miejsce „pensjonatem świrów”.

Szefowie resortu zadbali, żeby zarówno wnętrza obiektu oraz jego otoczenie, miały dla oka przyjemny charakter i kojarzyły się z sielankową, odprężającą atmosferą. Każdy członek personelu miał obowiązek nosić firmowy uniform w pistacjowym kolorze oraz nieduży identyfikator, przypięty do klapki kieszeni na wysokości lewej piersi. W drugim roku działalności „Sudeckiej Ostoi” na terenie resortu pracowało ponad trzydzieści osób. Swój etat znalazło tutaj kilku lekarzy, pielęgniarki, pielęgniarze,

fizjoterapeuci, sprzątaczkę, kucharkę, ochroniarze oraz człowieka, określany mianem „złota rączka”.

Resort bardzo szybko zaczął przynosić zyski, które przerosły najśmielsze oczekiwania trzech współwłaścicieli. Interes kręcił się w najlepsze, a dzięki osobom, które skorzystały z jego specyficznej oferty, zyskał miano doskonałego. Sudecka Ostoja nie potrzebowała lepszej reklamy niż ta, która powędrowała w świat dzięki rekomendacji byłych pensjonariuszy. Jednak sekret zawrotnego sukcesu tkwił w innym miejscu. Był zasługą nietypowego rozwiązania, które mogłoby uchodzić za genialne w swej prostocie. Trójka lekarzy uciekła się do sprytnego fortelu. Konstruując ofertę swoich specjalistycznych usług, postanowili nie używać słów, które mogłyby jednoznacznie kojarzyć się z medycyną. W jej treści nie padały takie słowa jak leczenie, klinika, zabiegi, szpital, pacjent, choroba, tabletki, oddział, zastrzyk, recepta. Nie było określeń typu psychika, depresja, zaburzenia, lęki, uzależnienie. W profesjonalnych, kolorowych folderach reklamowych, które ukazywały urokliwe zdjęcia „Sudeckiej Ostoi” zastosowali bezpieczne nazewnictwo. Identyczną formę zachowali również na stronie internetowej, która błyskawicznie kojarzyła się z ofertą pięciogwiazdkowego hotelu. Resort istniał również w mediach społecznościowych, gdzie prezentował swój nietuzinkowy wizerunek. Opis oferty zawierał bogaty wachlarz słów, które nie miały w sobie nic niepokojącego, ale w ich subtelnych zwrotach kryło się czytelne przesłanie. Kuracjusz, turnus, odnowa duchowa, pokonywanie słabości, odzyskanie spokoju, równowaga emocjonalna... Oczywiście niektórzy mogliby uznać zlepek takich określeń za wizytówkę jakiejś prężnie działającej i podejrzanej sekty. Jednak na stronie internetowej widniał również odnośnik, a po jego kliknięciu osoba oglądająca witrynę, mogła zobaczyć prezentację całego personelu. Wówczas stawało się jasne, że resort świadczy profesjonalne usługi. Nazwiska pracowników poprzedzały naukowe tytuły, a w opisie zatrudnionych, widniały ich zawodowe osiągnięcia. Wchodząc

głębiej w treść, przeglądający natychmiast orientował się, że na stronie podane są jedynie ceny podstawowego pobytu. Nie można było dokonać żadnej rezerwacji, bowiem w pierwszej kolejności należało skontaktować się telefonicznie z przedstawicielem resortu. Rozmowa miała charakter informacyjny i dalszy, ewentualny dialog, mógł zostać podjęty po uprzednim umówieniu się na wizytę. Wtedy dopiero można było określić zakres usług oraz długość pobytu przyszłego pensjonariusza i co najważniejsze – termin kuracji. Dodając wszystkie elementy, pojawiła się konkretna cena, która od zawsze szła w grube tysiące polskich nowych złotych.

Scena II

Milczenie jest złotem

Doktor Sarowski stał w oknie swojego gabinetu, który znajdował się na parterze budynku i spoglądał na taras, skąpany w promieniach sierpniowego słońca. W oddali rozpościerał się widok na dostojny Szczeliniec, który wznosił się niczym kamienny bastion, królujący nad połaciami leśnych drzew.

Na tarasie w wiklinowym fotelu siedział mężczyzna. Nagle podeszła do niego smukła kobieta ubrana w czerni. Przykucnęła, położyła dłoń na jego ramieniu i cmoknęła go w policzek. Zaczęła coś do niego mówić. Lekarz stojący w oknie obserwował sytuację, ale nie miał najmniejszych szans, żeby cokolwiek usłyszeć. Bacznie przyglądał się obojgu, bowiem był ciekaw reakcji jej słuchacza.

Po chwili kobieta podniosła się. Przysunęła w stronę mężczyzny stojący nieopodal fotel i usiadła. Założyła nogę na nogę i odezwała się łagodnym tonem:

– Michał, błagam cię odpowiedz na moje pytanie. Powiedz mi, chcesz tutaj jeszcze zostać, czy wolisz wrócić razem ze mną do domu? Myślisz, że mi jest łatwo? Muszę wszystkiemu sprostać i czasami czuję, że brakuje mi sił. Oboje dobrze wiemy, że w po-

łowcie lipca nastąpiła u ciebie zdecydowana poprawa. Od tamtej pory minął prawie miesiąc. Co mam zrobić, żeby cię odzyskać? – zapytała i rzekła nieco drżącym głosem: – Olgierd też za tobą tęskni i każdego dnia pyta, kiedy tato wróci? Pozwól sobie pomóc. Nie odsuwaj się od nas. Nie odrzucaj naszego wsparcia.

Mężczyzna siedział i beznamiętnym wzrokiem wpatrywał się przed siebie. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że lekceważy swoją towarzyszkę, że traktuje ją jak powietrze. Od chwili, kiedy kobieta zjawiała się u jego boku, ani razu na nią nie spojrział.

– Odbylałam dziś krótką rozmowę z doktorem Sarowskim. On uważa, że dokonałeś ogromnych postępów. Wyobraź sobie, że był zaskoczony, kiedy poinformowałam go, że z początkiem sierpnia zaczęłeś odbierać moje telefony. Odbierasz, ale co z tego? Mówię do głuchej słuchawki, a w odpowiedzi słyszę tylko twój oddech. Nie mam nic przeciwko, żeby do ciebie telefonować, ale naprawdę poczułabym się bardzo uradowana, gdybym usłyszała twój głos. Olgierd też próbował z tobą rozmawiać... Mój Boże – Magda westchnęła i w tym samym momencie poczuła, jak łzy cisną się do jej oczu. Jednocześnie odniosła wrażenie, że jakaś niewidzialna siła zaciska się wokół jej krtani i nie pozwala wydusić z gardła kolejnych słów. Dopiero po dłuższej chwili rzekła: – Nie wiem co powinnam zrobić, naprawdę nie wiem. Proszę cię Michał, zlituj się i podpowiedz mi.

Doktor Sarowski ciągle stał w oknie i nawet na moment nie oderwał oczu od dwojga ludzi siedzących na tarasie.

Magda przez kolejnych dwadzieścia minut toczyła monolog, bowiem jej mąż nie odezwał się ani słówkiem. Cały czas siedział w bezruchu niczym posąg i zamyślonym wzrokiem spoglądał przed siebie. Nie zareagował nawet wtedy, kiedy podniosła się z miejsca i powiedziała, że musi już jechać. Na odchodne pocałowała Michała w policzek, obróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku wejścia do budynku.

– Nadal wydaje się być nieobecny – Magda powiedziała oschłym tonem i podejrzliwym wzrokiem spoglądała na Sarowskiego, który siedział za biurkiem. Nagle w jej głowie zaświtała myśl, że być może ktoś inny odbiera jej połączenia telefoniczne? Może ten ktoś działa z podłą premedytacją, aby obudzić w niej nadzieję? Może w ten niecny sposób chcą ją tutaj naciągnąć na dalszą, piekielnie drogą kurację? Może cała zabawa polega na tym, żeby bazując na ludzkim nieszczęściu wydusić z naiwnych jak najwięcej pieniędzy?

– Pani małżonek potrzebuje jeszcze trochę czasu – odparł lekarz. – Kiedy rozpoczęliśmy kurację w trzeciej dekadzie czerwca, pan Michał był w stanie głębokiej katatonii. Dziś, po blisko dwóch miesiącach możemy śmiało twierdzić, że nasza terapia przyniosła bardzo zadowalające efekty. Dolegliwość pani męża nie została spowodowana żadnym, niepokojącym zaburzeniem. Nie ma jakichkolwiek podstaw lub poszlak, żeby doszukiwać się objawów chorobowych, które mogły wywołać u niego zespół katatoniczny. Problem zrodził się w wyniku bardzo intensywne-go i zarazem traumatycznego przeżycia, które dotknęło państwa rodzinę. Każdy człowiek jest inny, a nasze reakcje na drastyczne sytuacje mają indywidualny charakter. Czy mogę pani zadać niedyskretne pytanie? – zapytał znienacka.

– Słucham, niech pan pyta – odparła, nieznacznie wzruszając ramionami.

– Proszę mi powiedzieć, jak pani ocenia swoje stosunki z mężem w skali od jednego do dziesięciu? Powiedzmy, że jeden oznacza fatalne, a dziesięć rewelacyjne. Mówiąc o stosunkach, mam na myśli wszystkie aspekty pożycia małżeńskiego. Pytam dlatego, ponieważ w trakcie pani dzisiejszych odwiedzin odniosłem wrażenie, że współmałżonek dystansuje się od pani.

– Jak to dystansuje?! – zapytała z nieukrywanym oburzeniem. – Skąd pan wyciągnął taki wniosek?!

– Z jego zachowania – odparł i rzekł: – Kiedy kilkanaście minut temu siedzieliście wspólnie na tarasie, stałem w oknie

– kiwnął głową, jakby tym gestem chciał sprecyzować lokalizację, o której mówił – obserwowałem jak przebiega państwa spotkanie. Pan Michał nawet nie drgnął. Nie wykonał żadnego gestu i ani razu nie spojrzął w pani kierunku. Za chwilę wyjdę z gabinetu, pójdę na taras i poproszę pani męża, żeby usiadł przy stoliku w cieniu parasola. Proszę stanąć w oknie i obserwować.

Magda widziała jak doktor Sarowski podszedł do Michała. Powiedział do niego kilka słów i wskazał dłonią na stolik. Jej mąż powoli podniósł się z fotela i posłusznie wykonał polecenia. Usiadł na nowym miejscu, wyciągnął przed siebie nogi, położył ręce na wiklinowych oparciach i sprawiał wrażenie człowieka, który oddaje się relaksacyjnym rozmyślaniom.

Kilka chwil później lekarz wrócił do gabinetu i kiedy zamknął za sobą drzwi, rzekł:

– Była pani świadkiem zajścia, do którego doszło na tarasie. Proszę mi wierzyć na słowo, że pani mąż posiada doskonałe poczucie rzeczywistości. Rozumie każde słowo, które słyszy. Na wszelkiego rodzaju prośby lub sugestie reaguje w naturalny sposób, ale do tej pory nikt w naszym resorcie nie miał jeszcze okazji usłyszeć jego głosu. Niestety na chwilę obecną posiada podreźnikowe objawy mutyzmu. Nie udziela żadnych odpowiedzi. Nie wypowiada jakichkolwiek słów. Kiedy ktoś z personelu powiadamia go, że nadszedł czas posiłku, pani mąż udaje się do naszej restauracji. Zajmuje miejsce przy stoliku, na którym widnieje tabliczka z numerem apartamentu w którym gości i oddaje się konsumpcji. Od miesiąca samodzielnie korzysta ze szwedzkiego bufetu i nie potrzebuje już pomocy podczas toalety. Odzyskał również pełną sprawność fizyczną. Posiada prawidłowe funkcje motoryczne i przejawia procesy poznawcze, które są odzwierciedleniem jego reakcji i zachowań. Jedyнным i podstawowym mankamentem, który wymaga dalszej kuracji jest jego milczenie. Nie łudziłem się, że podczas pani dzisiejszych odwiedzin, dojdzie do gruntownego przełomu. Miałem natomiast iskierkę

nadziei, że jego zachowanie względem pani osoby, będzie bardziej ożywione. Jednak nic takiego nie miało miejsca i właśnie z tego powodu, zadałem pani wcześniej bardzo osobiste pytanie.

Magda marszcząc czoło, spoglądała na Sarowskiego i chociaż usłyszała szczegółowe wyjaśnienia, nadal nie potrafiła ostudzić swej podejrzliwości.

– Oczywiście nie musi pani udzielać odpowiedzi – rzekł zniechęcony. – Proszę jednak wziąć pod uwagę, że relacje rodzinne odgrywają bardzo istotną rolę dla osób dotkniętych mutyzmem. Negatywne stosunki z najbliższymi, potrafią skutecznie spowalniać proces rekonwalescencji.

– W skali od jednego do dziesięciu – powiedziała – oceniłabym nasz związek na mocną siódmkę. Uważam, że stanowimy udaną rodzinę, nie trawiamy nas żadne konflikty, darzymy się szacunkiem i zaufaniem. Jesteśmy małżeństwem z dwudziestodwuletnim stażem i wspólnie prowadzimy firmę. Podzielamy niektóre swoje pasje oraz gusta kulinarne. Oczywiście w naszych stosunkach sporadycznie dochodzi do drobnych potyczek, ale przecież nie ma związków idealnych. Mogę również powiedzieć, że...

Magda mówiła, ale Sarowski nie usłyszał w jej wypowiedzi takich słów jak szczęście czy miłość. Nie powiedziała wprost, że kocha swojego męża.

– Pani Werlich – rzekł lekarz, zerkając w kartotekę jej męża – z tego co widzę, mieszkacie państwo w Rybniku.

– Zgadza się – odparła.

– Na Śląsku jest wielu specjalistów, którzy byliby w stanie podjąć się dalszego leczenia pani męża. Za siedem dni, czyli dwudziestego drugiego sierpnia, upływa termin kuracji w naszym resorcie. Są dwie opcje. Pierwsza, pan Michał zakończy u nas swój pobyt, a kolejne etapy terapii będziecie państwo kontynuowali we własnym zakresie. Według mojej diagnozy środki farmakologiczne są już zbędne. Nie ma najmniejszej potrzeby ich stosowania. Cały problem tkwi wewnątrz umysłu –